Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 36. POZNAŃ. 1845.

POEZJA.

O szczęśliwi.

O szczęśliwi! oni płaczą,
Piersiom lżéj — i duszy lżéj!
Ja pielgrzymkę mą tułaczą
Bez pociechy pędzę téj —
Wziąłeś Boże nawet sny,
Daj mi za nie, daj choć łzy!

Wicher mnie jak orlę z gniazda
Strącił w przepaść z bratnich gór, —
A orlica jako gwiazda
Zawisnęła, patrzy z chmur
Nie ma syna! — w koło mgły!
Boże! jednéj, jednéj łzy!

Tęskno, obco mi przed okiem
Ból zapiera w piersiach dech;
Żałość mnie odziała mrokiem
Jako stare gruzy mech,
A przeczucie, zwiastun zły
Dręczy. — Boże! jednéj łzy!

Wszakże tułacz ja nie proszę
O blask, rozkosz siódmych nieb,
O łzę błagam, niechaj zroszę
Łzami gorzki, obcy chleb,
Z męztwem ścierpię krzyże twe
Ale daj mi jedną łzę!

Nie zaleje łza ogniska
Zemsty ni zapału sił —
Zemsta ogniem w sercu tryska
Mordem gra po strunach żył,
Łza rozżarzy zemsty skry,
Boże jednéj, jednéj łzy!

Przyjdzie czas — piorunami
Spadniem śród błyskawic fal.
Ogniem ludów i mieczami
Co tyrańskie siecz i pal!
Ach! gdy tryśnie potok krwi
Precz tęsknota, ból i łzy!

Brzozowski.

Ziemia wschodnia.

Wielka ziemia tam na wschodzie,
Kwitnie, pachnie w swéj urodzie.

Pograniczne, wielkie morza,
Siostrze ziemi z bezdna łoża
Mrucząc ciągle pieśń żałośną
O narodu dawnéj sile,
Jego grzechach i mogile
I pokucie przez lat tyle —
Szumią ludom pieśń rozgłośną
O ich przyszłém zmartwychwstaniu,
Po odważném burz przetrwaniu.

Na południe, jak strażnice,
Sterczą dumnie gór wyżyny;
Hardo patrzą w niebios lice,
A poważnie na niziny.

Środkiem ziemi mruczą wody,
Szumią puszcze, szumią lasy;
Wiecznie gody śród przyrody,
Pełno życia, pełno krasy.

I dokoła siadły sioła.
Mnogo chatek w każdém siole;
A za siołem, górą, dołem,
Bujne zboże złoci pole.

A w tych siołach i zagrodach,
Przy tych puszczach i tych wodach,
Mieszka z dawna lud rozrosły,
Silny, krzepki i wyniosły,
Lud przesławny, lud poczciwy,
Śpiewny, rzewny, żywy, tkliwy,
Przy robocie i ochocie,
I uczynny i gościnny.
Jako ziemia jego chowa
Drogie skarby w swojém łonie,
Tak i w sercu jego płonie
Święta irskra narodowa.
Więc gdy wróg mu fałd przysięgdzie,
To, choć zmilknie, wzrokiem błyśnie
Drgnie z boleści, dłonie ściśnie . . .
Przy nim, przy nim górą będzie!

Jednak straszną losu wolą
Wiecznie ciernie lud ten kolą,

Wiecznie osy i szerszenie,
Przybyszowe i gniazdowe,
Wyjadają miód i mienie,
Których nabył w pocie czoła.
Nawet i ty milczysz Boże,
Choć do ciebie z łzami woła:
»Nędza doma i na dworze!
Zmiłuj, zmiłuj się, o Boże!
Na ciemięzców niech grom spada!
Biada, Biada!«

A. Cywiński.

W starym piecu djabeł pali.

(Opowiadanie mojego dziadunia.)

(Ciąg dalszy.)

»A co moja dzieweczko? — radaś panu ojcu — rada? — Niech ci Pan Bóg miły da zdrowie.« — I pocałował ją w czoło. — »Tak tak — i ja tęsknił za wami moje gołąbki, — Bóg dał, i powróciłem zdrowo, wesoło, i nie sam. — Gość w dom, Bóg w dom moje niewiasty, a jeszcze taki, co bez niego nie uściskalibyśmy się już na tym świecie; — i przyjąć się godzi od serca — od duszy, — i uczęstować czém Bóg dał . . . . No Józiu, czegoż się gawronisz! patrz mi na tego chłopca. .

Jak gadał — tak ustał; — panna jak w lot nie zerknie na mnie, zrazu filuternie, jak wiewióreczka, tak w lot filuterstwo prysło jak mgła, — w lot oczki w ziemię buch, i upiekło nieboże raka, ale ot tak, aż po białki oczne. — Jaka moja była mina, niech tam Bóg broni — bo pono nie spełna kawalerska. — No trudna rada, kiedy taka wola P. Boga. — Dyg — szast znowu, — chciałem wypalić jaką attencyą, jak godziwie i przystojnie, — a tu nagle by uciął, i stanęlim oboje jak dwa dudki. — Pan ojciec spojrzał na nas, spojrzała i pani matka, potém na siebie, — potém uśmiechnęli się kruszynkę; — aż też jéjmość znów mnie w komplimenta, w podzięki, — a z serca znać płynęły, nie, jako dziś waszém zwyczaj, z obłudy, bo i mowa drgała jak struna, i w źrenicy świtało coś tak widno, przezroczysto — Więc mnie dopiero na kieł przychodzić poczęło — słówko zrazu jedno — potém dwa — potém trzy — aż i przy bożéj pomocy roztajał język, aż i panna coraz to śmieléj i śmieléj; — koniec końców w godzin kilkoro, byliśmy sobie jako brat ze siostrą — ej może i więcéj . . . to też panie cześniku przyszlij 100 takich Dońców nie wygonisz mnie z pod swéj strzechy.

Owoż mój waść chłopcze . . . jedno mi się nie śmiéj, — bo to nie dziś — nie wczora, ale 56 w tył latek — i krew młoda to nie woda, kiedy ją takie nadobne oczęta przygrzeją. — Owóż tedy, ut dicam per similitudinem, rozpaliłem się jak słonko do miłego dnia, — bo też to była i panna całą gębą. — Smagła — gładka — potulna jak łania, — i gospodarna jak mrówka — i skromniutka jak aniołeczek, i serdeczna, jak ta boża ziemia, i stateczna, jak to boże niebo. — Takiéj niewieście w dom, to i łasce bożéj nie z doma, i światowéj szczęśliwości i fortunce nie na grzyby. — Z końca, czas też już ustatkować się powoli, przylgnąć sercem i duszą, do tego żywota, i do téj rodzinnéj zagrody — pomyślić o starych latach.

To ja tedy przerzucając w myśli co dnia, co godziny, żyłem sobie tymczasowo cały tydzień jak pączek w maśle. — Ukarmiony, upieszczony od państwa ojców, resztę słodyczy dolewałem z nadobnéj z córunią konwersacyi. — I było, — że się jakoś widocznie, i nie od rzeczy cholewki smalić poczęło, — ba . . . i szczęśliwie, — bo i panna choć istny gołąbeczek, nie była mi na krzywo. — To z oczka, to z uśmieszku, to z języka wreszcie zachwyconego od szatnéj jéjmości, mógłem to wymańdrować, więc żyłem sobie szczęśliwie, jak Bissurman w dziesiątem niebie u psa Mahometa, kiedy raptem jednego odwieczoru — trzask! trzask po podwórku, jak z samopału. — My do okien, aż tu czwórką jak sto bisów, wali przed wystawę malowana dryndulka. — Kto to? kto to? . . — A któżby, tylko pan Bykowski, zacny sąsiad — przytém possesionat i kawaler, choć marczak mówi jéjmość, — ja spojrzę tymczasem na córunię, a moje dziewcze rozpalone jak z ognia, to źle, i wraz skwaszone jak z octu, — to dziwno, myślę sobie, — albo i tu bies w mieszał swoje trzy grosze. — Aż w tém i drzwi się otwarły i suto zamaszysto wszedł szlachcic on przybyły. — Wszedł i otworzystem okiem zatoczył w około, — a mina jak u lwa, a czupryna jak u laszcza, a wąs jak u suma — a szabla w jaszczurze, żupan z grodeturu, guzy z dyamentów, słowem strojno, jak na sejm — choć nie jak na sejm być winno, trochę dumnie, trochę niepoczciwie w oczach, — co tam, przecież to u pana. — Choć pięćdziesiątka szeroko pisze się po czole, — co tam, kiedy jest siła i w duchu i w prawicy. — A więc witania z panem ojcem, po sąsiedzku, — po bratersku, więc potém pani matce w rączkę, i pannie córuni, całus serdeczny, aż wszystkie zadzwoniły szyby, — potém jak nie spojrzy na mnie z góry istno jastrząb, tak myśleli, że mnie roztrąci okiem i pychą. — Com ja ci winien człeku, myślę sobie, a krew ledwie nie tryśnie z oblicza, — com ja ci winien, co mnie napastujesz? — Aha! to nie pycha — nie

duma przeklęta, ale te nadobne oczęta, takie z waszmością wyprawują cuda! . . . Niech wyprawują z Bogiem, toć i mnie nie zjeść w kaszy, — kupić nie kupić — i mnie i tobie potargować wolno, — więc nastroiłem minę, pojeżyłem się jak okuń przed szczupakiem, i zapłaciłem jak przystało pychę za pychą. — Skończyło się.

Owoż tedy potém zasiadamy w komnacie, — potém przeróżne gawędy, to gospodarskie, to konfederackie, jak to powszednio, anoć wszystkie czegoś sute, niezdarne jak z musu. — Państwo ojcowie, gościnni bo gościnni jak przystoi, ale co panna, to krzywa, nawet łzawa nieboże istno marcowy dzionek. — Co stary utnie koperczaka, to ona skwasi się, i mój koperczak trzask... jak bańka mydlana, a panu Bykowskiemu nie cukrem to na języku. — Djabeł się tu święci pomyśliłem sobie, — szczęść mu Boże — są i u mnie świętości . . . — Więc jak przyjechał — tak pogawędził chwilę, tak wsiadł i pojechał, — ale znać jako on mnie, tak i ja jemu, stanął kolką w boku. — Kto też zwycięży myślę sobie. — Ej — albo kapucyn, albo starosta — takiś sobie dobry z pieniędzmi, jako i ja choć goły, po co dusić serdeczny głos — ażali jest w nim wola boża — nie chybi. — Tak sobie plotę sam z sobą a chodzę po ogródeczku, to tam — to sam, — aż tu jedną razą miedzy krzewy mig biała sukienka, by obłoczek. — Mojaś łańko! moja rzekłem sobie, nie wyszło pół zdrowaś Marya, — jużem przy niéj.

»Ej panno Józefo, mówię, a dusza ledwo nie wyskoczy od affektu, — mamci ja coś waćpannie powiedzieć, tylko proszę o łaskawe uszko, i poczciwą wolę ku mnie młodemu. — A ona miast odpowiedzi, tylko oczki w dół, i tylko pokraśniała jak różany kwiat, — tylko poczęła dygotać, istno listek osiki. — To dobry znak. — »Mościa panno, trudno z motyką na słońce, a woli bożéj naprzeciw harcować, kiedy zagada po sercu. — Pierwszego momentu, jakem ujrzał waćpannę, serdeczny affekt rozgorzał w piersi, jak żywy ogień. — Miła panno, — daruj wartogłowcowi, ale zwróć łaskawem okiem ku téj mojéj passyi, — a daj ochłody, w skłonnym sentymencie, ażali niechcesz ujrzeć mnie trupem przy twoich nogach. — Nie moja boć to wina, — ale tego pana Boga, że waćpannie dał takie nadobne liczko, i nadobniejszą duszę — a mnie młode serce nie kamień.« . . . .

Owemi tedy, i jeszcze strzelistszemi słowy, eksplikowałem mój affekt, a pannuńcia moja, tylko mi piecze raczki za raczkami, oczęta tuli w dziwnie pięknéj mgle, chce znać coś rzeknąć, i sroma się, jak rosa przed słonkiem. —

»O najsłodsza panno, dobijam więc, — chwytając jéj bieluchną dłoń, jak tonący brzytwę, — odpowiedz że choć słówko pociechy, — bo umrę z żałości, jak Pan Bóg na niebie umrę, albo cuda z sobą porobię . . . .« »Nie umieraj waszmość panie! . . . . pochwyciło nagle drgająco — ale słodziuchno jak miodek moje dziewczątko, — i spojrzało na mnie raz tylko, po prawdzie — nic więcéj, — ale tak czegoś litośnie, a dziwnie cudno, a kochająco, — że w punkcie z sił mnie rozebrało, jak garniec stóletniego węgrzyna.

»Józiu moja! — chcesz żebym żył! . . o dajże mi owego życia — twojego serduszka« — zakrzyknąłem jak pijany. — »Moje biedne serce, już do waszmości pana należy, — ale ja do państwa ojców. — Do nich waszmość się udaj, rzekną — a już ja niczyja tylko wasza do szczęśliwéj śmierci.« — Wyszczebiotała istno czeczotka, ścisnęła za rękę, — fffrr . . . i już jéj niema; — a ja zostałem sam jeden, szczęśliw i nieszczęśliw — Bóg mnie wiedział, — dość, że rozgawronion jak gap.

I jak gap stoję Bóg wie jak długo, wjechawszy myślą i okiem gdzieś het głęboko za Józią w krzaki, kiedy ot silny głos pana cześnika, i jeszcze silniejsza dłoń na ramieniu, — zbudziła mnie, istno rozmarzonego konew krynicznéj wody.

»Cóż to z waścią chłopcze się dzieje na tém padole płaczu? . . . od niejakiego czasu, zagłuchłeś mi, osowiałeś jak puszczyk, — jak nie krew mojego Józefa, nie karmazyn z antenatów. — Źle mościdziejku! Albo ta kozacka szabla obstrugała ci głowę ni djabłu na ożóg, ni Bogu na świeczkę, albo omen jakie fatalne padło na waszmości. — «

Gadał, — a jam zgapił jeszcze gorzéj; — boć było owo gadanie tak nagle, i po djable, — że ani mnie animuszu zebrać, ani oracyi skonceptować nie stało. — A tu stoi pan cześnik, i śmieje się w nos, i wedle niego pani cześnikowa nie płacze, — a mnie w śmiech słodki, jak Madejowi łoże, aż raptem pomyślę sobie: — Otoż mu po wojacku, — kiedy jasno — jak ryba w wodzie, kiedy ciasno, jak kot na lodzie, — Semel mori, — co ma wisieć nie utonie, będę i ja gadał, co affekt i ślina na język przyniesie. — »Oj omen to — omen stokroć szczęśliwe, mości cześnisku, ale nieszczęśliw ten, kogo takie omen porazi, jeśli mu ludzie nie posekundują, bo przyjdzie mu na zdrowiu — ba często na rozumie szwankować. — Owóż w takiéj sytuacyi, jam położon teraz. — Poraniła mnie luzacka szablica — i miło mi, bo to za waszmość pana — za matkę rzeczpospolitą. — Przy czułéj staranności otrzymałem zdrowie z rąk waszych, nie chciejcież i teraz spuszczać ze mnie łaskawego oka, kiedy cięższe dotknęły mnie

rany, bo owe serdeczne, co o nich mówi poeta: eneruant animum, corrumpunt usque ad intima corpus.« —

„Choćby żadne nie wiązały mnie do waszmości obligacye, odbił mi w ten sens pan cześnik, jedno przyjaźń od chłopięcych lat, z zacnym twoim panem rodzicem, — jużbyś waść do mnie tak śmiele, jak do niego winien przychodzić. — Dzisiaj nobile verbum — choćby mi na kwaśne jabłka wyjść miało, ja zawsze z tobą — nobile verbum chłopcze.«

Tego mi było potrzeba. — W punkcie jak długi klap do nóg panu ojcu — potém pani matce, — nuż rozwodzić moje serdeczne affekta, nuż malować moje szalone passye. — Com gadał — jakem gadał, bij zabij nie zdam sprawy, — zmąciło się w muzgu jak w trybunale, — pamięć zgasła jak szlachcie w żydowskich rękach. — Koniec końców, nie musiałem gadać od rzeczy, kiedy nie wyszło chwil kilkoro, — już wesoło podniósł mnie pan ojciec, — i pani matka rozpłakała się jak bóbr, ale nie z żalu, — i mnie Bóg wie z czegoś po oczach świerczeć zaczęło.

„Otoż to co lubie mospanie, — prawił pan cześnik, otoż to co Pan Bóg przykazał, a człek poczciwy gra weń na tém świecie. — Dziewki nie bałamucić cudownemi androny, a potém nie zwodzić, — ale jak raz pokochać, a tęgo a serdecznie, to od ojców zaczynać, — potém od księdza, — a potém skończyć aż w grobie. — Zarobiłeś waszmość u nas na wysoką estymę. — Nie masz z ojca radziwiłłowskich imion, ale masz coć czyni godnem królewny, — niepokalany szlachecki klejnot, — męstwo, dobrą wolę i młodość, resztę Bóg da. — Pozwalamy z wszystkiem sercem starać się o przyjaźń naszéj Józi, — (Wartogłowe to dziewcze, ale poczciwe, gospodarne, — co nie umili, to nie zawadzi w domu. —) Jak ją pozyskasz — i my nie odmówimy bogosławieństwa.«

W toż mi graj mospanie. — Złożywszy więc co tchu moje podzięki, za owe excessa łaski, — wymówiwszy moją nadzieję, szczęście, jaką mi czyniła poczciwość gniazda, z którego wybieram przyszłą moję vitae sotiam, gdy i pan cześnik żartując: „Nie mów waść hoc póki nie przeskoczysz — a bierz co prędzéj zabiegać wedle serduszka, — boć to dziewczęce, po sta remu jak chorągiewka,« — pokłoniwszy się raz jeszcze, skoczyłem co sił ku mojéj pannuńci.

A ot i słuchaj waść, — jak to dziewcze, zawsze filuterne, istny kotek. — Zaledwie poczynam lecieć na złamanie karków po sadzie ku domowi, bom ją tam myślał naleść, — kiedy pojrzę sobie po ścieżce, aż tu w kąciku bieli się coś między krzewiem tureckiéj laszczyny. — Poczciwe nieboże czekało na mnie. — Dopieroż ja mospanie ku niéj, słówko — dwa, i już zrozumieliśmy się jak po roku pogwarki, — więc rozpłakało się kochanie z uciechy, czy z miłości, — a było takie cudne w onem radośnem płaczu — więc ja za rączkę musk — musk — caluję, ledwo nie zjem — aż miło wspomnieć . . . . . . Miły Boże — myślałem że oszaleję — oszalałem z kretesem kiedym ją więc serdecznie przytulił do piersi, — kiedym pojrzał w one oczki jak dyamenciki . . . ej ogniste też było tnę pocalunki raz i drugi i dziesiąty w ślicznego buziaka — bo też i było całować! . . Słodkie czasy! . . i w co się to wszystko obróciło! — Ja w dziada — ona w babę — a wszystko w marną wspominkę. — Ej pal djable — ale znać dosyć owo szczęście dla człeka.

Tak więc było stojem sobie jeszcze, oko w oko, dłoń na dłoni, — a gwarzem — a co tchu, jak tu zrobić — co tu zrobić, kiedy tu nagle tuż za uchem masz go bisa. — Ha! ha! ha! A toś mi waść zuch gracki! . . huknęło, — któżby jedno pan cześnik — »ledwośmy się starzy przyczłapali, a on już zwojował serduszko. — Szczęść Boże — szczęść Boże! . . —

My zrazu jak wrzącą pokropieni wodą, odskoczyliśmy od siebie, — ale potém nie tracąc fantazyi, znów oboje w punkcie do nóg panu ojcu. — A pan ojciec po nad nasze głowy wyciągnął drzącą dłoń, — i łzawe oczy popchnął ku niebiosom — »Panie Boże! błogosław mi te poczciwe dzieci, jako ja je pobłogosławię« — wymówił — ale tak przeraźliwie serdeczno, że oboje zaryczeliśmy głośnym łkaniem- — A potém — niewiele dam ci — mówił do mnie, ale co daje, to moje najdroższe — jedyne dziecko, — nie pozwol tyrać się potém świecie nieboźęciu gdyć spowszednieje, — miłuj ją — a jam ci za nią poręką i moje siwe włosy. I przyjął Pan Bóg ojcowskie błogosławieństwo — spełniły się ojcowskie słowa. — Słuchaj chłopcze — 56 lat wędrujem po świecie, — 56 lat, biedy jak walą, tak walą się na człeka, i przy boskiéj pomocy, jakoś nam miléj — i słodziéj — i znośniéj we dwoje. — Oj zaprawdę mospanie — poczciwa niewiasta, to pierwsze boże błogosławiestwo mężowi na tem świecie.

Ale wracając się ad rem, ażalim był kiedy w raju, podniesion do nieba zostałem. — Milowaliśmy się bowiem na zabój jak dwie turkaweczki, — w ustawiczném gruchaniu i szczebiotaniu ale poczciwém, przesiadując całe godziny, — zwyczajnie kiedy to jedno we drugim cud boży uwidzi. — Anoć złe, co zawsze ludzkiemu szczęściu na zdradzie stoi, i naszemu nie puściło płazem. — (Od wschodu słonko, często już zawalą go chmury — i nasze zawaliły, a zaprawdę bez łaski bożéj, oj trudno wygrzebać by się z nich przyszło! . .)

Trzeciego tedy dzionka potém, ut brevius sim, już od rana zły mi wiatr zawiał. — Pan ojciec już od rana począł mi bąkać to o Krakowie, o konfederacyi, — to o staropolskim obyczaju na karkach wrogów dokupywać się żony, — to o verbum nobile, daném w nadzowskiéj karzmie. — Wiedziałem ja co się to święci, i nos mi opadł gorzéj skrzypcowéj kwinty, bo to pono nie na dzień nie na dwa, przyjdzie zawiesić na kołku, moje miodowe godziny. — Ależ nie tu był koniec. — Wedle południa, kiedy w najtęższe, cisnąwszy o ziemię i troski — i Kraków — i boży świat — ot tak siedząc sobie pod wystawą szczęśliwo-słodziuchno, tnę koperczaki na przegony mojéj pannuńci, — a dworsko a chwacko — z partesu, moja bogdanka niby zatopiona wkrosienkach z ukosa — strzeliciście, wdzięczy mi się by słonko z za chmury, — pani matka zaczytana w żywotach świętych jak jéż w trwawie, od czasu do czasu uniesie okulary — pogrozi palcem — »Cicho plotki! . . . mruknie, a na to jak na ścianę groch — kiedy nagle zielone podwórko znów zatętniło tententem — szklanne szyby dźwiękły podzwonném — powietrze roztrzasło się trzaskim bicza — i ot czwórką wali znów, któżby, ino mój djabeł — stróż — pan Bykowski. — A był in grandis fiokis — zastrojony od stóp do głów — istno jasełkowa lala; — tą razą nie sam, z drugim szlachcicem, marczakiem jak i on — i jak i on huczno i strojno, tylko nie tak junacko. — Ej słodkoż mi się zrobiło mospanie, jakby mi kto garść pieprzu na język wysuł. — Więc pan Bykowski jak przyjechał po staremu tak znów po staremu — uczciwie — wita państwogospodarstwo — z partesu tnie attencye i ognisty pocałunek w rączkę pannie Józefie, znów ostro — kwaśno — z pyszna mierzy mnie od stóp do głowy, na co i ja odpowiadam — ut preius. Ha — dobrze — ale po staropolsku i wroga nie wypchnij z za proga, — więc choć z prosta, z uboga ale z chędoga uczciwie przyjmujem panów braci szlachtę. Ale jam schmurzon jak borsuk — więc pan cześnik pojrzy łaskawie, i łaskawie runie w ucho »Nobili verbum!« — a mnie serce rośnie jak na drożdzach, — i moja pannuńcia, jak mrugnie ku mnie oczkami — uśmieszkiem, ale tak wyrazisto, a rozkosznie, tak i chmury sobie zgasły — i kwas w cukier się zmienił. — Więc znów gadu gadu — i rozgwarzylim się na dobre; — Pan Orzechowski, bo takie było miano drugiego owego szlachcica z panem cześnikiem — o polityce, — Bykowski dworsko chciał sunąć ku Józi na koperczaki, filutek, mrugnęła ku mnie, więc i ja nie proszon ni dziękowan, szast między nich, jak Jan III. między Turka i Niemcy pod Wiedeń. — Prześwidrował mnie oczami istno smok — ściął zęby, lecz nie tracąc fantazyi, jakbym był przed nim robakiem, ciął daléj swą sztukę. Pan cześnik spojrzał na to z pod chmury — z pod chmury i pani — ha co robić — nosi wilk owce poniosą i wilka.

Wydano przekąskę — wódeczki, wędlinki — marcypany i inne mirabilia jéjmościny apteczki, — potém i obiad. — Więc tniem co żywo — jak zwyczaj, — i jako zwyczaj stajem w około, — pan cześnik wskazuje miejsce każdemu .... a tu Jezus Marya! i cóż się to raptem stało z tem panem Bykowskim! — czy mu bies wskoczył za skórę — czy go boża kara opętała? .... Jak prędko stanął, tak jak pojrzał przed siebie, tak nagle pokrośniał, istno rak, potém pobladł jak chusta, — potém zgrzytnął zębami, łupnął nogą — zadzwonił w podłogę złocistą karabelą, aż wszystkie odbrzękły szyby.

»Odpłacę ja tobie szlachetko — greczkosieju! — aż wzasnął jak wściekły kot; — odpłacę razem z twoją głupią dziéwką — choćby i krwią i gardłem odpłatę kupić przyszło, choćby aż w piekle słychać ją było!... Ha! ha! Zagonkowicza progi za wysokie na Bykowskiego senatorskie nogi!... ha! ha! takich dwudziestu noszę w jednéj kieszeni, — ha! ha!... Ale twój grzbiet mości zalotniku, — ciął z pyszna obracając się ku mnie, — to równy na Bykowskiego kańczug!... Więc strzeż się!... uciął i zawrócił ku drzwiom i czesał co tchu, — ale ho... na cmentarz chyba poczesałby ztamtąd, — gdyby go Bóg nie był postawił pod strzechę szlachcica polskiego. Krew nie woda mospanie.... Moja wierna Augustówka, sykła mu już nad uchem jak żmija, kiedy pan cześnik nagle chwytając mnie silno za dłoń, zwichnął gracki cios.«

»I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszem winowajcom, — zawiodł, istno zygmuntowski dzwon. — Chłopcze daruj mu, bo to gość — a głupi — głupi!... o głupi!...«

Jaśku! — przez Bóg żywy — stój!... zaszeleściało z kącika, jak skowroneczek z pod chmurki, — i moja prawica opadła — i kord opadł — jak kawał kija. —

I jam stał jeszcze jak pół w tumanie, pół osłupiały nad tém co się to podziało, kiedy i mój drugi szlachcic zgasł gdzieś nagle jak zdmuchniona świeca. — Więc znowu zatentniło podwóreczko — podzwoniły szyby — panie boże prowadź, djable pchaj — drapnęli. — Dopieroż pan cześnik miast żalu boleści — gruchnął w serdeczny śmiech, — i my za nim całém stadem; a potém jak się godziło, do rączek, do nóżek państwu rodzicom

oboje z Józią, — bo wiesz waść co to była za przyczyna owéj całéj jego furyi?.... Ot farfurka szaréj polewki z gęsiny, co mu ją postawiono przed nosem! .... Oj cierpkież to — ale śmieszne te grochowe wianki na świecie!

Więc tedy jakby nowo narodzonemu było mi na tym świecie. — Wesoło dobijaliśmy obiadu, — moja pannuńcia szczebiota jak czeczotka, — matunia się śmieje, o mnie się nawet nie pytaj, bo zgadniesz sam; — tylko panu ojcu, jak siadła jakaś sina chmura na czole, tak ani zegnać korcem uciechy!.... Jam ją zuważał — zagadnąłem na stronie. — »Mospanie zięciu odrzekł mi, — ufam sobie, ale pomnij, że niema czarniejszego djabła jak ukłóta pycha.« — Co prawda to nie grzech, mruknąłem sobie, a jednak były mi one słowa wiatrem wedle ucha.

(Dokończenie nastąpi.)

KRYTYKA.

(Dokończenie.)

Teraz następuje pragmatyczne osądzenie ostatniego powstania polskiego. W tém powstaniu odbiła się według autora cała historya Polski, jéj błędów i wad narodowych, jéj cierpień, męstwa i nadziei od dawna tlejących — jaśniéj niż kiedykolwiek. Tu pokazali Polacy światu, »że *sami przez się umarli*,« a nie zamordowani zostali, jakby w siebie i w innych gwałtem wmówić usiłowali. Znikli — bo musieli zejść z widowni historycznego świata jako naród zepsuty, zbutwiały, i niezdolny do samoistnego działania. Niemylne oznaki téj śmierci moralnéj objawiały się ciągle —, a teraz szczególniéj błysły jak iskra życia przy skonie śmiertelnika, jakoto: nie było u nich wspólności i zamiłowania dobra ogólnego; stany zrębnie od siebie oddzielone — polityczne, domowe, stósunki rozprzężone. Znikło zaufanie w swoje własne siły, a natomiast objawił się fantom spuszczania się na obcą pomoc — najpewniejsza oznaka grobowéj zgnilizny i zepsucia narodowego na wskróś. Temu najgorętsi patryoci, najdzielniejsze duchy podobne do owych greckich lub rzymskich historycznych postaci żadną miarą zapobiedz nie mogły — samoistność Polski przepadła. Do tego dołączył się jeszcze los i nadana od Cara Aleksandra konstytucya z wynikłą z onejże nadzieją samoistnego na przyszłość bytu i wydźwignienia się z niedołężnéj toni. — Ztądto wzrastał duch buntowniczy Polaków, zbrodniczy w swoim zarodzie, postępujący bohaterczo, kończący haniebnie — a za nim najsmutniejsze skutki.«

Po tém pragmatyczném rozwiedzeniu się nad pierwiastkową przyczyną nieszczęścia Polski osądza autór, wbrew powszechnemu zdaniu, jak sam się wyraża, ostatnie powstanie z roku 1831., mówiąc, że ci, którzy podział Polski za wielką niesprawiedliwość ze strony dzielących uważają, snać nie wiedzą o tém, iż głupstwem loiczném jest odrywać fakta od ich naturalnego związku; zapominać o przyczynie onychże. Polska upadła zarodem złego gnieżdżącego się w jéj wnętrznościach — musiała tedy skończyć swój byt ziemski i jako zepsute ciało roztoczyć się w grobie. On jako pragmatyczny i filozoficznie myślący historyk dba przecież o postęp ludzkości, a chociażby może i Polska ludzkości serdecznie sprzyjała — on o tém *nie ma zapewnienia*, nie może zatém ślepo wierzyć trzymając się staro-łacińskiego przysłowia: Fide — cui? vide! *zobaczywszy zaś zapewnienie* tego przyszłego postępu ludzkości w Rossyi i przekonawszy się o niém jak *najrzetelniéj; jakoby na dłoni*, śmiało każdego zwać może niedowarzonym szaleńcem i niepojmującym losów tyle go obchodzącéj sławiańszczyzny, ktoby mu twierdzenia a osobliwie niezawołane sądzenie o rzeczy zarzucił. Dla tego z góry potępiając cały byt Polski przeklina i ostatnie powstanie, ponieważ Rossya niszcząc konstytucyą działała koniecznie do potrzeby czasu, a nawet legalnie, bo ją do tego sejm r. 1815. uprawnił. Zresztą, by wiele o prawie nie bałamucić — Rossya miała i ma do jedynie do tego prawo i ....; kwita. —

Albo co gorsza jeszcze! niektórzy ludzie bez piątéj klepki w głowie, mniemali, że Rossya gnębi narodowość polską występującą na jaw i domagającą się praw swoich. Lecz tnie p. Binder daléj — (musimy to słownie przytoczyć, bo to rzeczywiście sławne) str. 178: es gab ja nie eine Nationalität bei den Polen; (sic!) denn dieser Begriff hat nur dann einen Sinn, wo achtungswerthe politische Einrichtungen ein großes Interesse politisch gesitteter Völker beschützen und ihre Entwickelung auf dem Wege der Civilisation befördern. Das Schauspiel polnischer Reichstage aber begründet noch keine Nationalität; diese keimt, wächst und blühet nur unter der Herrschaft des Gesetzes, der Ordnung und Weisheit. — Z tych to mądrych pragmatycznych historyka słów mogą się Polacy przekonać, że nie mieli narodowości, że jako naród nie istnieli; że to istnienie tylko czczą i blachą fantasty-

cznego ich umu ułudą, że nie chodzili po odłamie ziemi ciągnącym się od Karpat do Baltyku, od Odry do Dniepru, jeno po błękicie powietrznym, ba nawet i nie po tém jeno *po niczem*, nie mówili tak zwaną polską mową, jeno piszczeli jak skowronki lub mruczeli jak niedźwiedzie, że nie mieli kontuszów, żupanów, karabeli, jeno pierze na sobie lub nie wiem co, bo konceptu brakuje . . . że nie mieli żadnych jedynie im właściwych zwyczajów, obyczajów, oświaty praw itd. itd. ani żadnych owych materyalnych i duchowych ingrediencyi, które w jednym moździerzu pojęcia stłuczone, tworzą razem wzięte *narodowość*. Tak tedy Polacy do szczególnego rzędu istot żyjących, organicznych należyć muszą, nad których dziwną naturą jakiś Oken zastanowićby się powinien, kiedy ich *naród skojarzony w państwie nie miał narodowości.* Prawdziwie! to istne jakieś dziwolągi!

Daléj jeszcze p. Binder prowadzi rzecz o Polsce w ten niby sposób. — Uczuli nareszcie obrońcy Polski, że o jéj odbudowaniu na dobro europejskiéj sprawy mówić nie podobno. Dla tego wpadli znienacka na zupełnie inne dowodzenia obszary, twierdząc, że po zdobyciu Polski Rossya zagraża bezpieczeństwu całéj Europy. — Ale gdzież ci ludzie rozum podzieli? więc naród od wieków zepsuty, rozprzężony, ba nawet całkowicie upadły, który *jednéj nocy* rewolucyą zaimprowizował, miał wstrzymać ten kolos północny by się nań i na całą Europę nie zwalił? Co za sofisterya i niedorzeczność oczywista!!? więc ci ludzie upośledzają rząd, który dał światu tyle dowodów swojéj rzetelności, a wierzą bezwarunkowo ladajakiemu szpargałowi polskiego jakubina! Przyjaciele Polski ujmują się za nią naprzeciw Rossyi, a osobliwie Anglicy, bo tego wymaga *cywilizacya;* wstydziliby się tego ci zamorcy mówiący o cywilizacyi a gnębiący biednych Irlandczyków, aż w niebie słychać ich jęki, gdy tymczasem chłop rossyjski nieporównanie szczęśliwszy od irlandzkiego wieśniaka, obywatela wolnego ucywilizowanéj wielkiéj Brytanii. Lecz Anglicy o téj szczęśliwości rossyjskiego wieśniaka zgoła nic o nic nie wiedzą, bo zazdrościliby tego — (str. 184) Jährlich viele irländische Bauern, obgleich freie Bürger des civilisirten Großbritanniens, würden den Zustand des russischen Sklaven beneidenswerth finden (sic!!) wenn er ihnen bekannt wäre.. Wie sollten sie ihn aber kennen, da ihre Publizisten selbst die größte Unkenntniß der russischen Zustände an den Tag legen . . . . . Nieco daléj na str. 186. Im eigentlichen Rußland hat die Sklaverei einen völlig verschiedenen Charakter und überhaupt dürfen die Russen in dieser, so in noch vielen anderen Beziehungen nicht nach auswärtigen Begriffen, sondern lediglich nach den Eigenthümlichkeiten ihres innern Lebens beurtheilt werden. Przy tak głębokiem przeświadczeniu p. Bindera o rzeczywistém szczęściu rossyjskich wieśniaków serdecznie żałować należy, dla czego tenże pan Binder nie jedzie natychmiast gdzie pod Petersburg lub Moskwęna mużyka, by się wpisać dobrowolnie w poczet dusz jakiego bojara dla zakosztowania nektarowéj słodyczy. Bo istot—nie cierpliwości braknie czytając dzieło tak *bezstronnie* pisane. Podobnie *gada* szanowny autór jeszcze daléj, a zakończa swoje pragmatyczne uwagi tak: (str. 196 i 197) Ueberdieß ist der Verlust einer unnatürlichen und erkünstelten Selbstständigkeit eben nicht sehr zu beklagen; Polen das abgelebte, altersschwache Reich, ist jetzt ein Theil des mächtigen, in frischer Lebensfülle aufstrebenden Rußlands, dessen Beherrscher gewiß nicht über eine verwüstete Schädelstäte, sondern nur über glückliches Volk zu herrschen wünscht. Ist dieses Gefühl bei den Polen vorhanden, dann wird auch der Schmerz über die untergegangene Nationalität der Aussicht auf eine ächte Versöhnung und Wiedergeburt bald weichen müssen. Tak radzi nam uczony Binder szczerze, od serca, bez wszelkiéj obłudy. Obyśmy jego słowa mieli dzień i noc w pamięci, i postępowali sobie według nich na prostéj drodze życia naszego. Ciągmy do Rossyi jak Binder do prawdy, sprzyjajmy Rossyi jak Binder prawdzie, a nie chybiemy celu. Śliczna porada godna także wzajemnego podziękowania i braterskiego uściśnienia ręki przynajmniéj temi mało znaczącemi wyrazy: Quid non mortalia pectora cogis, auri sacra fames!

W dodatku następują niektóre historyczne dokumenta w przekładzie niemieckim, z których najważniejszy trzeci, to jest list właściciela dóbr w królestwie polskiém, do swego brata w Lublinie. Ten właściciel dóbr posłyszawszy coś o wybuchu rewolucyi listopadowéj pisze natychmiast o tém do brata w Lublinie, przeklina dzień tak nieszczęsny dla Polski, w którym buntownicza zgraja porwała świętokradzką ręką za oręż naprzeciw swego króla i prawego monarchy, by splamić imię Polski na wieki. — List cały pisany w duchu serwilizmu, i najgorętszego rossyjskiego niby patryotyzmu. Zkąd pan Binder do niego przyszedł, niewiadomo — zapewne ztamtąd zkąd wionęło natchnienie prawdy i Zamiłowania umiętności pobudzające go do napisania jego pragmatyczno-filozoficznego dziełka; za co mu daj Boże upamiętanie.

Lach K.

KORRESPONDENCYA.

Zacny Redaktorze!

Jakkolwiek nienawidzę wszelkich sporów i kłótni, osobliwie literackich; nie chcąc jednak, by Redakcya pisma, służącego jedynie poczciwéj sprawie, przez zamieszczenie w Tygodniku literackim mojego artykułu o krakowskiém towarzystwie wstrzemięźliwości, choć w części uległa zarzutowi złéj wiary: czuję się być zniewolonym, jeszcze raz zatrudnić Cię tym przedmiotem. Albowiem w Nrze 16. naszego Dwutygodnika lit. z dnia 15. Listopada r. b. znalazłem niby odpowiedź na mój artykuł, gdzie autor bardzo krótko tém mnie zbywa, »że wszystko w rzeczonym artykule jest zmyślone, prócz szczerego zamiaru utrzymania nadal opilstwa.« O tak bezecny zamiar, chyba ten tylko mógłby mnie posądzić kto mojego pisma w całości nie przeczytał. Co się zaś tyczy kłamstw, te, z czyjéj popełniono strony, nie trudno mi będzie wykazać. Kiedy więc ów wstrzemięźliwiec powiada, że nie Jaśnie Wielmożni, tylko Professorowie i Senatorowie założyli to szanowne towarzystwo: muszę mu tedy wytknąć: 1) że Prezesem jego był JW. *Franciszek Wężyk* (tak go bowiem tytułuje Pan Prof. *Hechell*, były Sekretarz byłego towarzystwa). — 2) PP. Senatorowie również mianują się u nas Jaśnie Wielmożnemi. — 3) P. *Brodowiczowi*, jako byłemu Rektorowi uniwersytetu, obecnie zaś Kommissarzowi rządowemu przy instytutach naukowych w W. M. Krakowie i j. O. należy się także tytuł Jaśnie Wielmożnego. Wreszcie 4) P. H. Exsekretarz owego grona, Wysoce Urodzonych, już sam mocno na Jaśnie Wielmożnego zakrawa. — Daléj zarzuca mi mój przeciwnik: iż sam jeden czytałem szumne ogłoszenia imion członków towarzystwa w gazecie krakowskiéj. Toby tylko wtedy było mogło być, gdybym ją sam jeden czytywał; ale jeszcze do tego nie przyszło. Albowiem jest u nas jeszcze dosyć tak cierpliwych, tak skromnych i potulnych ludzi, którzy nie tylko ją czytają, ale co większa, poprzestają na nowinach z niéj tylko wyczytanych. A zatém nie tylko ja, ale i wielu innych czytało w pierwszych zaraz chwilach istnienia tego towarzystwa, że między innymi przystąpili do niego PP. *Bierkowski* i *Gieszkowski*. — §. V. ogłoszonego drukiem statutu tow. wstrz. w Krakowie brzmi jak następuje: »Towarzystwo mieć będzie Prezesa, Vice-Prezesa, Sekretarza i Kassyera.« Jednakże twierdzi mój przeciwnik, wbrew niezaprzeczonym dowodom, że tych wszystkich dygnitarzy nigdy nie było, bo towarzystwo niedoszłe (t. j. niedojrzałe) nie mogło ich obrać i nie obrało bynajmniéj. Jakiém więc prawem, — pytam się — podpisywał się, i to kilkakrotnie w naszéj gazecie P. *Wężyk* Prezesem a P. *Hechell* Sekretarzem towarzystwa wstrzemięźliwości? Nie przypuszczam, żeby sobie przywłaszczyli te zaszczyty. — Obiad, przy którym gospodarz, jako człowiek tow. wstrz. nie chcąc sam swych gości zachęcać do picia wina, zobowiązał do tego swego przyjaciela P. *Wolfa*, dawał były Senator P. *Brzozowski*. A jednak zaprzecza i temu autór, że takich obiadów nikt nie dawał i nikt nie zjadał! — Któż więc zmyśla?

Na takie tylko zdania zdobył się obrońca Panków wstrzemięźliwych, naganiając mi i to, żem zamiast przysłowia narodowego »*co nadto to nie zdrowo*« powinien był raczéj wziąść za godło mojego artykułu wyrazy niemieckie: »Ich bin der Geist, der stets verneint.« Wszakże to godło właśnie jemu byłoby najlepiéj przystało, bo hurtem wszystkiemu przeczy, com tylko powiedział. Ale oprócz wytkniętych szczegółów, w inne się wcale nie wdaje; »bo co do licznych zarzutów, poczynionych pismu Prof. *Hechell*, nie znalazł na to miejsca w Dwutygodniku« (??). Bardzo tego żałuję; bo mógł był i o nich podobnie napisać, że to istne brednie, pisane w malignie, wcale niegodne uwagi, i rzecz byłaby zupełnie skończoną; przynajmniéj w jego rozumieniu lub widokach. Jeżeli zaś na wstępie utyskuje nad tém, że sprawa opilstwa znalazła swego obrońcę niestety w Krakowianinie; to odpierając tę potwarz z oburzeniem; mnie raczéj ubolewać nad tém, że w owém towarzystwie znalazł się członek, który gościnnie w Krakowie przyjęty, dostawszy tu urząd i utrzymanie, w swojém piśmidle tak haniebnie poczciwe nasze miasto sponiewierał. Czy wreszcie ci wszyscy, którzy się u nas wśród lata wódki wyrzekli, obejdą się bez niéj i w zimie; o tém dowiemy się dopiero na przyszłą wiosnę. Zapatrując się jednak na to, co się już teraz dzieje po wsiach około Krakowa, o téj wytrwałości mocno powątpiewam. Ż.

Kraków, dnia 22. Grudnia 1844. r.

Doniesienia literackie.

(Nadesłano.)

Poznań. — W kommisie księgarni Żupańskiego znajduje się «Wystawa sztuk pięknych w Berlinie rok 1844». opisał St. Pomian. — Musimy przyznać, iż podziwiamy śmiałość (nie chcemy mocniejszego wyrazu użyć) z jaką autór broszurki, z której widać, że nie ma najmniejszego uczucia wzniosłości sztuk pięknych — o malarstwie rezonuje. — Autor musi być jednym z tych, co w gazecie poznańskiéj wychwalając teatr małp bawiącego tu pana Szrejera i zachęcając do licznego odwiedzania tego teatru podpisał się, przyjaciel sztuk pięknych. — Inaczéj trudnoby nam było wytłumaczyć sobie arlekinowskie wyrażenia jak n. p. żeby czytelnik prof. Begasa — nie z bekasem porównał — a Pistoryusza z aparatem gorzelniczym. — Przypuśćmy, że ktoś nieprzyjazny nam, przeloży na język niemiecki tę broszurkę i wyda ją pod nazwą »Ein polnisches Urtheil über die Berliner Kunstausstellung« czyżby nawet sam autór, — jeżeli cokowiek uczucia czci narodowéj posiada nie zarumienił się i nie pomyślał »co ci Niemcy mogą o naszém wykształceniu estetycznem sądzić — przeczytawszy me baje.« Dla tego radzimy z serca nieznanemu nam autorowi, by exemplarze w komis dane jak najprędzéj odebrał — spalił — jeżeli młody kształcił się — a jeżeli stary całkiem pisaniu dał pokój — a uwolni nas na przyszłość od ganienia pisemek jego (co doprawdy nie miłą rzeczą) a siebie od czytania zdań podobnych. X.

Z Warszawy donoszą nam, iż wkrótce zwiedzi nasze miasto w przejeździe swém do Berlina — sławny nasz kompozytor Dobrzyński. — Tenże wydaje w Lipsku szkołę na fortepian. — W Warszawie u Spiessa wyda także na fortepian szkołę utalentowany p. Józef Nowakowski.

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień we Wtorek. Prenumerata, wynosząca półrocznie 2 Talary, przyjmuje się po wszystkich królewskich pocztamtach, i księgarniach krajowych i zagranicznych. Główny debit ma księgarnia J. K. Żupańskiego w Poznaniu.

Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*

Redaktor *A. Woykowski.*